

Błażej Pęksyk
Świt Bogów - Powtórne przybycie

Rozdział II

Hathy to zwierzęta stadne,
które można spotkać w całym Ados.
Ich ciała są mocno umięśnione,
oraz cechują się skocznością i szybkością,
jednakże mięso tych zwierząt
nie ma znaczących walorów smakowych,
a wręcz jest nieprzyjemnie twarde.
Zwyczajowo żywią się liśćmi drzew i krzewów,
lecz gdy znajdzie taka potrzeba,
nie wzgardzą trawą, czy sianem.
Ich krótkie, lecz bardzo ostre rogi,
potrafią być bardzo niebezpieczne,
dla tego, kto nimi dostanie.
Zazwyczaj używają ich jednak
do zdzierania kory z drzew,
w których to słodkich sokach się lubują.
Udomowione sprawują się dobrze,
jako wierzchowce jeździeckie,
aczkolwiek z powodu swej porywczosci,
nie zaleca się ich zaprzęgać
do ciągnięcia pługów czy wozów.
~"Elementarz zwierząt" fragment

Era I

Autor nieznany

Przekłeta Puszcza w noc całunu była jeszcze bardziej przerażająca niż za dnia, a już wtedy oblewał mnie ze strachu zimny pot. Spomiędzy olbrzymich drzew dobiegały moich uszu upiorne głosy. Miałem wrażenie, że cały czas nas coś obserwuje z mroku.

Drogę oświetlała nam jedynie lampa trzymana przez mistrza, oraz błękitne dusze zagubionych wędrowców, które swym blaskiem próbowały skierować nas ze szlaku, wprost w śmiertelne bagna.

Wielce się po fakcie cieszyłem, że byłem wtedy jeszcze trochę pijany i mistrz prowadził galopem mojego hatha, choć nadal nie mam pojęcia jak bez mapy i w środku nocy wyprowadził nas z tego śmiertelnego labiryntu.

Kiedy dotarliśmy na rozdroża, skręciliśmy na północ podążając traktem biegnącym wzdłuż linii drzew. Wyprzedzaliśmy tłumy kobiet i mężczyzn z pobliskich miast i osad zmierzających w stronę gdzie upadła gwiazda.

Zaczynało już świtać gdy dojechaliśmy do obozu na rozdrożach.

Był to jeden z wielu niewielkich obozów wypadowych gwardzistów z miasta Solva, które otaczały Przekłętą Puszcę, zwalczając jej przekłętą magię i jej niebezpiecznych mieszkańców, poprzez regularną wycinkę drzew i polowanie na zwierzynę. Niestety wysiłki te były bardzo nieskuteczne.

Obóz był praktycznie opustoszały, zostało w nim zaledwie paru gwardzistów, od których dowiedzieliśmy się, że gwiazda uderzyła gdzieś za linią drzew w Przekłętą Puszczy.

Na horyzoncie, znad lasu unosił się olbrzymi słup czarnego dymu, przesłaniając krwawo czerwony wschód słońca.

To zły znak, pomyślałem, Tilia na pewno miała z tym coś wspólnego.

Pędzący tłum przebiegał przez obóz nie zatrzymując nawet się na chwilę. Każdy miał nadzieję znaleźć choćby mały kawałek kamienia bogów, artefaktu dzięki którym na dusze posiadacza spływa łaska przedwiecznych.

Pognaliśmy za tłumem, aż dotarliśmy do krańca lasu.

Tłum z pochodniami i świecami wbiegał w głąb ciemnego lasu bez chwili zastanowienia. Normalnie baliby się oni nawet podejść do jego krawędzi, lecz tym razem nikt nie myślał o strachu, a każdy myślał o łasce i bogactwie jakie można było zdobyć.

Krzyki potykających się o wystające korzenie i tratowanych przez napierający ślepo tłum mieszał się z nawoływaniem imion bogów i wznosząc do nich modlitwy. Z siodła miałem idealny widok na wszystko co się tam działo.

Większe skupisko światła pomiędzy drzewami przykuło mój wzrok. Mistrz Jahon także to zauważył.

Panował tam jeszcze większy chaos.

Oddział gwardzistów z dobytymi mieczami, włóczniami i tarczami tworzył barykadę wokół wozu z uszkodzonym kołem, który to robotnicy z pobliskiego obozu mozolnie pchali starając się go wyprowadzić z puszczy.

— Z drogi! — krzyczał dowódca oddziału stojący na wozie z wyciągniętym mieczem, którym machał w powietrzu wydając rozkazy — Nie podchodzić do wozu! W imię Talanosa! Chronić ładunek własnym życiem!

Dwa uderzenia, cisza, dwa uderzenia, cisza... to gwardziści uderzali rytmicznie mieczami w tarcze odstraszać tłum.

Każdy kto miał choć trochę instynktu samozachowawczego trzymał się od nich z daleka lecz ci, którzy poczuli zew bogactwa, przez gwardię strzeżonego, ruszali na nich szarżą, mając nadzieję, że uda im się ukraść choćby trochę cennego skarbu.

Głupcy ci, bo inaczej nie dało się ich określić, leżeli już martwi na ziemi z rozciętymi gardłami i roztrzaskanymi czaszkami, z których wylewała się posoka i rozgnieciona tkanka mózgowia. Całe szczęście były to nieliczne przypadki wyłamujące się z tłumu.

Dopiero jak się kawałek zbliżyliśmy do oddziału zobaczyłem, że na wozie u boku wydzierającego się na całe gardło dowódcy oddziału, stała drobna postać ubrana w białą szatę kapłana. W świetle latarni zawieszanej na wozie widziałem delikatne rysy twarzy wskazujące na to, że była to prawdopodobnie młoda kobieta, co było mi na początku trudno określić, ze względu na głowę ogoloną aż do skóry.

Szata, w którą postać była przywdziana, nie była idealnie czysta, co było rzadko spotykanym widokiem wśród kapłanów, dodatkowo była ona mocno zabrudzona krwią. Poczulem na sobie przeszywający wzrok kapłanki, wskazywała na nas palcem, mówiąc coś pochylonemu w jej stronę dowódcy.

— Hej wy, na hathach! — ryknął dowódca przekrzykując panujący zgiełk i wskazując na nas swym długim mieczem — Do mnie!

Skierowaliśmy nasze wierzchowce w stronę wozu. Podjechaliśmy powoli nie zbliżając się zbyt, aby przypadkiem żaden z gwardzistów nas nie zaatakował. Krzyki, zapach posoki i szcęk oręża wprawiał hathy w niepokój, co okazywały przez walenie kopytami w ziemię, parsaniem i machaniem łbami, jakby zaraz miały kogoś zabić swymi ostrymi rogami.

— Przepuścić ich! — ryknął dowódca na swoich podwładnych.

Zbrojni zrobili wyłom w formacji pozwalający nam się jeszcze trochę zbliżyć.

Dowódca był potężnie zbudowanym mężczyzną, o twarzy mocno przeoranej bliznami. Odziany był w półcieżki pancierz ze startymi już złotymi wstawkami i zdobieniami, które świadczyły o jego pozycji.

— Jak się nazywacie? — zapytał szorstko żołnierskim tonem, zwracając się do mistrza Jahona.

Nim mistrz mój zdążył odpowiedzieć na pytanie wydarzyło się na raz kilka rzeczy..

Jeden z mężczyzn biegnących przez mroczny las postanowił wykorzystać stworzoną przez nas lukę w formacji gwardzistów i rzucił się z krzykiem w naszą stronę. To nie spodobało się mojemu hathowi, który przestraszony kopnął go tylnymi kopytami z siłą na tyle dużą, że ten wyleciał na wysokość około trzech pięter, gdzie ostatecznie, dla swojego żywota, nadział się na ostry konar ułamanej gałęzi.

Wypadłem z siodła gdy mój przerażony hath skoczył nad wozem i gwardzistami, po czym zniknął w ciemności między drzewami. Ja za to wylądowałem na czymś miękko, lecz moje szczęście trwało krótko, gdyż to na co spadłem okazało się być martwą kobietą z pośmiertnymi drgawkami, która jeszcze przed chwilą miała nadzieję się przedostać przez formację obronną gwardzistów do wozu z cennym ładunkiem, a skończyła bez połowy twarzy.

Zza dowódcy, który zrobił unik przed lecącym hathem, wyłoniła się młoda kapłanka. Miała zamiar przemówić lecz spomiędzy drzew dobiegł naszych uszu płacz lasu.

Płacz lasu był to niezwykle przeraźliwy dźwięk, który mroził i rozrywał serca w ułamku cetni. Brzmiał on niczym tysiące nałożonych na siebie okrzyków goryczy kobiety dowiadującej się, że jej mąż i wszystkie dzieci zginęli w męczarniach podczas pracy w polu, torturowani przez znudzonych zabójców.

Słyszając ten przerażający dźwięk każdy bez wyjątku się zatrzymał. Nikt nie biegł, nikt nic nie mówił, nikt nie bił orężem, jakby wszyscy wpadli w trans.

A po chwili zapadła martwa cisza, której nikt nie miał odwagi przerwać.

Jednakże prawie idealną ciszę zaburzał samotny krzyk, który przypominał obdzieranie żywca ze skóry.

Nim udało mi się zlokalizować źródło tego krzyku kapłanka o złotych oczach przemówiła radośnie, wrywając nas z transu.

— Mistrz Jahon!

Wstając z ziemi miałem okazję się jej przyjrzeć. Była bardzo drobną kobietą, właściwie to dziewczyną w moim wieku, o delikatnych, wręcz nieskazitelnych rysach. Jej złote oczy wydawały się świecić w mroku, niczym gwiazdy na nocnym niebie.

Mistrz zdążył już zejść z wierzchowca i skłonił tylko głową, lecz nim zdążył odpowiedzieć dowódca zasalutował kładąc zaciśniętą pięść na piersi w typowo żołnierskim przywitaniu i przemówił.

— Mistrzu, to honor i...

Mistrzu, to honor i wyzwanie się z tobą spotkać, oby bogowie obdarzyli mnie twą mądrością, chciał powiedzieć dowódca, co było powitaniem i oznaką najwyższego szacunku względem uniwersyteckich mistrzów, lecz nim zdążył dokończyć spomiędzy drzew znów rozległ się płacz lasu.

Tak samo jak niespodziewanie się pojawił, tak samo niespodziewanie zniknął. Znów zapanował chaos. Tłum znowu ruszył pędem w stronę gdzie powinna znajdować się gwiazda.

— Mistrzu, to honor... — dowódca znów próbował przemówić, lecz kapłanka przerwała mu szybkim wybiciem łokcia w bok nieosłonięty przez pancerz.

— Nie mamy na to czasu. — mówiła szybko — Mistrzu jesteś nam potrzebny, mamy rannego, chodź ze mną szybko do... — kolejny płacz lasu urwał jej wypowiedź.

Tym razem jednak płacz lasu nie zamilkł.

Najpierw pomiędzy drzewami błysnęło światło, jakby słońce znalazło się pośrodku Przekłętej Puszczy. Następnie przez las przetoczył się potężny huk, który miałem wrażenie że rozchodzi się zewsząd, a był on na tyle potężny, że aż ziemia drżała.

Wszyscy upadli gdy uderzył w nas wiatr, potężniejszy od huraganów panujących nad Smutną Wodą, a niósł on ze sobą masy pyłu, liści, ziemi i gałęzi. Ledwo mogłem oddychać.

Następnie przez las przetoczył się ogień piekielny, jakby to sama Tillia próbowała nas usmażyć swym przeklętym mieczem.

Zaraz zginiemy, pomyślałam czując żar na swoim ciele i nie mogąc złapać oddechu.

Na koniec znów przetoczył się kolejny huragan, tym razem jednak uderzył on z drugiej strony, jakby to Husar lub sam Talanos chcieli zwalczyć żądzę zniszczenia krwawej bogini.

Uratowany, odetchnąłem głęboko chłodnym powietrzem. *Czy to sami bogowie postanowili walczyć o gwiazdę na Ados?* Rozmyślałem nim wszystko się uspokoiło i słychać było tylko płacz i krzyki.

Dowódca gwardzistów, który spadł z wozu powalony przez pierwsze uderzenie wiatru, zerwał się na nogi i machając mieczem zaczął wydawać rozkazy, kopiąc każdego z podwładnych który się ociągał.

Podniosłem się szybko na nogi, na tyle ile w stanie to byłem zrobić, gdyż nadal ciężko mi było oddychać. Pomogłem wstać mistrzowi. Jego hath także skorzystał z chwili panującego zamieszania i uciekł w gęstwiny.

— Mistrzu, — powiedziała kapłanka łapiąc ciężko oddech — chodź ze mną! — chwyciła go za rękę ciągnąc w stronę wozu — Nie ma czasu do stracenia!

Wspięliśmy się z mistrzem na wóz, który osłonięty był brezentowym namiotem w postaci zaokrąglonego tunelu.

Nim wszedłem do namiotu rozejrzałem się jeszcze wokół. Wiecznie zielone drzewa pozbawione były teraz liści odsłaniając niebo na którym wznosił się słup płonącego dymu, przypominający te z rysunków i “Opowieści o płonącej górze”, z której niczym rzeki płyną roztopione skały, paląc wszystko na swej drodze.

— Ruszać dupska! — darł się dowódca, a oddział na nowo formował szyk — Do obozowiska! Nawet jeśli będziecie mieli wziąć ten wóz na ramionach!

Wszedłem do namiotu.

W świetle lampionów dostrzegłem makabryczny widok. W ciasnej przestrzeni znajdowało się dwóch starszych wiekiem kapłanów i wojskowy medyk po których strugami spływała krew, to samo tyczyło się niegdyś białych brezentowych ścian. Na środku, pomiędzy tą trójką, leżał krzyczący i wijący się z bólu mężczyzna, co dało się stwierdzić tylko po tonie jego głosu.

Kapłani i medyk starali się go chyba operować, a na pewno uratować mu życie. Nawet nie musiałem przyglądać się z bliska jego ranom, aby stwierdzić że krew pokrywająca całe wnętrze musiała należeć do niego.

Duża część jego ciała pokryta była czarną skorupą, na którą starsza kapłanka trzęsącymi się rękami nakładała masę. Zapach spalonej skóry, mięśni i tłuszczu natychmiast dawał znać, że ta skorupa była kiedyś nim.

Drugi kapłan usztywniał mu rękę, która musiała być najwidoczniej złamana, lecz to nie była jedyna kończyzna w takim stanie. Jedna noga łamała się w trzech miejscach, druga natomiast sterczała wygięta w kolanie w przeciwną stronę niż normalnie.

Medyk tymczasem próbował wyciągać z jego mocno krwawiącego, wręcz tryskającego niczym fontanna, brzucha sporych rozmiarów ostre przedmioty, które

przypominały mi rozsadzony od środka zbiornik parowy, który nie wytrzymał ciśnienia.

Mężczyzna majaczył, jakby pomiędzy niemiłosiernym krzykami starał się coś powiedzieć, lecz nie dało się go zrozumieć. Było w nim coś nienaturalnego.

Wóz szarpnął i powoli ruszył. Dowódca na zewnątrz wydzierał się rzucając imiennie obelgi na swoich podwładnych.

— Kto to? — spytał się mistrz, bez zastanowienia podwijając rękawy swej szaty i klękając naprzeciw medyka i zaczynając powstrzymywać krwawienie — Przytrzymaj go! — rozkazał.

— Talanos, — odparła młoda kapłanka o złotych oczach, natychmiast rzucając się do pomocy — jego rydwan spadł z niebios i się rozbił.

Wraz z medykiem i kapłanką przytrzymaliśmy rannego, aby ograniczyć jego poruszanie się.

Talanos, pomyślałem, bóg ojciec we własnej osobie. Co na wszystkich bogów musiało stać się w Solos, że przybył do nas w takim stanie.

— Nie rozśmieszaj mnie. — parsknął mistrz śmiechem — Gdzie masz medykamenty? — spytał się medyka.

— W obozie, — odkrzyknął medyk — wszystko co miałem już zużyliśmy.

— Anestetyki?

— Wpakowałem w niego wszystko co miałem i nic nie zadziałało! A było tego tyle co dla całego oddziału!

Mistrz wyszarpnął z mężczyzny spory kawałek dziwnego metalu, co pozwoliło mu na zatamowanie obfitego krwawienia przy pomocy prowizorycznego bandażu.

Nagle ranny wygiął się nienaturalnie, głos utknął mu w gardle i spojrzał na mnie... spojrzał, to mało powiedziane. Przeszył mnie swoimi nienaturalnie niebieskimi oczami... oczami boga.

Zemdlał.

Następne cztery dni spędziliśmy wraz z mistrzem w pobliskim obozie wypadowym gwardii znajdującym się na rozdrożach.

Obóz zbudowany był z dwóch prowizorycznych chat i szeregu dużych wojskowych namiotów, w których mieszkali gwardziści i robotnicy, a otoczony był prowizorycznym i zaniedbanym ostrokołem.

Odkąd rydwan Talanosa się rozbił sytuacja w obozie stała się napięta. Część stacjonujących w nim gwardzistów zniknęła w Przekłętej Puszczy tej nocy gdy bóg przybył. Na szczęście przybyły oddziały stacjonujące w pobliskich wsiach i obozach, dzięki czemu wzmocniono warty i odbudowano ostrokół.

W obozie non stop dochodziło do bójk pomiędzy cywilami ciągnącymi do nowego miejsca kultu religijnego, które nazwano Miejscem Powtórnego Objawienia Talanosa. Większość z walk pomiędzy wiernymi dotyczyły rzekomo znalezionych artefaktów i drastycznie malejących zapasów jedzenia. Dochodziło nawet do brutalnych morderstw, którym gwardia nie mogła skutecznie zapobiegać, gdyż sama była w ciężkiej sytuacji.

Wraz z mistrzem Jahonem prawie cały czas spędzony w obozie poświęciliśmy na usunięciu obcych ciał z jamy brzusznej Talanosa i jego wstępnemu oparzenia, zapobiegając wykrwawieniu się, czy wydaniu zakażenia.

Gwardia cały ten czas przygotowywała się do przetransportowania Talanosa do Solvy, gdzie zostałyby zoperowany i wyleczony wszelkimi dostępnymi środkami medycznymi. Jednak aby tego dokonać należało zdobyć odpowiedni wóz, nadający się do transportu rannego i wierzchowców, pozwalających na bezpieczną podróż praktycznie bez zatrzymywania się, co oznaczało prawie sześć dni i nocy bezustannej podróży.

Dzień przed odjazdem, gdy stan rannego był w miarę stabilny, udaliśmy się wraz z mistrzem Jahonem w miejsce gdzie rydwan Talanosa się rozbił.

Tłumy pielgrzymujących z pobliskich osad wydeptały już ścieżkę pomiędzy drzewami, które na nowo puszczały młode liście, po raz kolejny pokazując siłę życiową Przeklętej Puszczy.

Po przejechaniu przez las, wierzchowcami pożyczonymi od gwardzistów, wyjechaliśmy na olbrzymią polanę pokrytą czarnymi spalonymi szczątkami niegdyś olbrzymich drzew. Miejscami zauważyć można było kości tych chciwych nieszczęśników, którzy chcąc zdobyć choćby kawałek boskiego rydwanu zostali spaleni przez niebiańskie wierzchowce o płonącym oddechu, o których mówiły święte księgi.

W miejscu gdzie rydwan prawdopodobnie się rozbił, znajdował się olbrzymi okrągły krater. Mistrz określił go dokładnie na trzysta pięćdziesiąt stóp średnicy i czterdzieści stóp głębokości.

Podczas wędrówki wokół krateru, mistrz mój znalazł niewielki kawałek dziwnego metalu wbitego w resztki spalonego pnia.

Metal ten był identyczny jak do tego, którego ostre niczym groty strzał kawałki przez dwie noce wyciągaliśmy z rannego, lecz nim mieliśmy okazję się mu przyjrzeć kapłani go zabrali ukrywając przed nami, nazywając nas tylko *niegodnymi*.